Tom VIII.

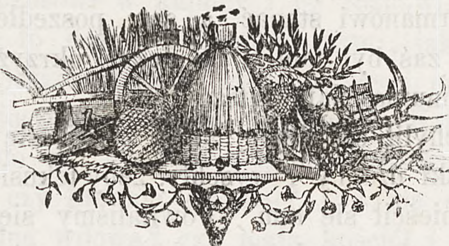
21. Stycznia



Nr. 3.

1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Starodawna kaplica.

Przejeżdżałem niedawno na odpust do Jakubowni i jechałem przez wieś Wierzbowice, a jest to wieś wielka, luda tam gęsto i dużo, dwór murowany, kościół już stary ale w porządku, zwyczajnie jak dom Boży, a gospodarze pracowici, nie pijacy i chwalą sobie xiędza i pana swego, a osobliwie samą panię i dwie jej córki, co to uczą małe dziewczęta czytać, szyć, gotować, spiewać pieśni rozmaite, a mają być dobre i pobożne jakby dwa aniołki z nieba. Jadąc od końca do końca przez te Wierzbowice zobaczyłem i dom nowy blisko plebanii i zaraz pytam się pierwszego lepszego:

— Co to za dom taki porządny i z takiemi wielkiemi oknami i gankiem?

A ludzie mi gadali.

— To szkoła nasza, tu się uczą nasze dzieci, a co niedziela uczą się tu i parobczaki i poganiacze, a xiądz z organistą czytają im tu różne historye co jeno się stanie gdzie co ciekawego na świecie. Podziękowałem ludziom za dobre nowiny i jadąc dalej zobaczyłem koło drogi kaplicę z kamieni posta-

wioną, a koło niej gruszę starą i jeszcze starszego dęba. Na przodzie kaplicy wisiała na drucie grubym latarnia, która widać świeciła się koło tej kaplicy. Ciekawy co to za kaplica, kazałem memu furmanowi stanąć, a sam poszedłem opatrzyć to święte miejsce; zaś był tam Pan Jezus ukrzyżowany, a pod krzyżem stała smutna Najświętsza Panna.

Ledwom uchylił czapczynę, a tu zjawił się zaraz staruszek jakiś, co był taki drobny i wyschły, żeby lekusienko wlazł cały do ćwierci i zmieścił się tam. Powitaliśmy się jako katoliki i Polacy i ja zaraz zapytałem go:

— Mój dziadusienku dobry! może to do was należy ta kaplica i wy tu pilnujecie?

A dziaduś gadał:

— To z dziada pradziada nasze prawowierne to miejsce i każdy gazda z tego gruntu musi podług jakiegoś tam zapisu dawnego pilnować tej świętej kaplicy i tej latarni, aby co piątek świeciło się tu w nocy światło.

Ja też ciekawy zapytałem zaraz:

— To widać musi być jakąś stara ta kaplica, kiedy z dziada pradziada należy do tego gruntu i każdy gazda dba o nią.

A dziaduś mi odpowiedział:

— Ho! ho! Jegomość, to już nie ma w całym świecie pamiętnika, coby to miał tyle lat, co ona ma.

A ja znowu poderwałem go zaraz:

— A jakże wy dziadusiu wiecie, że ta kaplica tak dawna? albo kto ją fundował i na jaką pamiątkę?

A dziaduś mi ze łzami gadał:

— O mój xiężuniu! jać to nie żył wtedy, kiedy ludzie fundowali tę mękę Bożą, ale też ci ludzie gadają rozmaicie o tym Panu Jezusie i ja też słyszał nie jedno od mojego dziadka, com go pochował dopiero 6 lat w zapusty. Oj słyszałemci słyszał dziwne rzeczy, a jeżli jegomość zechcą trochę posiedzieć i wyrozumieć mię starego, to ja też opowiem co nieco o tej kaplicy.

I ja usiadłem na kamieniu, a dziaduś poprawił sobie pasinę i koszulę na sobie, złożył ręce jakby do pacierza i pokłonił się Panu Jezusowi w kaplicy i jął rozpowiadać tak:

— Dawno to dawno Jegomość temu, jak postawiona ta kaplica, bo to jeszcze byli tu króle polscy i my chłopi należeli do króla polskiego, co to sobie siedział w Krakowie i jeździł nieraz od wsi do wsi i wypytywał się każdego wójta, co słychać nowego? czy kto nie zgorzał? czy nie zostały po kim sieroty lub biedna wdowa? czy mają kościół i xiędza? czy im kto nie robi jakiej krzywdy? oj bo to bywało wtedy jakoś inaczej na tym bożym świecie, jak to teraz się wiedzie każdemu do niczego dobrego, do biedy i potem do onej śmierci, a nieraz do zguby swej duszy. Ale co to dobrego nadawali ludziskom tacy dobrzy króle, to nieraz znowu zabierali i rabowali jacyś poganiska, i wie co Bóg zkąd to plugastwo przyłaziło tu do nas i tyle zdziwiało się nad biednym ludem.

A ja dodałem zaraz dziadkowi:

— To tak rabowali po całej Polsce tu koło Lwowa, Przemyśla, Sokala, a nieraz aż koło Krakowa, a takie niewiary, co to zwali ich nasi dziadkowie Tatarami; oj bo to byli drapieżne wilki, co nie zjedli na miejscu, to zabierali, a co nie mogli zabrać, to spalili albo w błoto rzucali — a dwory i kościoły to pierwsze zawsze palili, bo tam było co więcej brać niż u chłopa — a co to oni ludzi ztąd nabrali i wykradali.

A dziaduś zaraz mi przerwał i gadał:

— Toć niechno jegomość pozwolą mi dokończyć to i ja tu opowiem wielkie ciekawości, co to się tu u nas miało stać od tych Tatarów. Otóż widzi jegomość! raz jakoś to było w adwencie czy też już koło wielkiego postu nalazło tych Tatarów tyle do polskich krajów tam gdzieś od wschodu słonka aż z poza Lwowa i tam gdzieś od Sadogóry, gdzie to nasi krajanie po dziś idą na woły, i to psiarstwo niedobre zapełniło het swemi szkapami wszystkie łąki i pola, a brało to ludzi na sznurki jakby Boże odpuść ludzie byli psami lub bydlętami na zabicie jakie i wiązali jeden do drugiego tak, że jeden taki Tatar ciągnął za sobą i po kilkoro odartych i pokaleczonych i w ogniu poparzonych ludzi. Ej mocny Boże! co to musiało

przecierpieć to biedactwo tak powiązane na krzyż i na poprzek i pędzone o chłodzie i o głodzie i boso i prawie nago jakie sto mil dzień i noc het tam do krajów tatarskich! Ej! ej! co to z tej wsi zabrali wtedy naszych kobiet i dziewek! Powiadają że tu na tem miejscu został jeno kamień i woda i to co potrafiło uciec do lasów ot tu w góry i przeżyło tę biedę i te rabunki — i rozpłakał się na to dziaduś starenki i obrócił się twarzą ku kaplicy i zaczął wzdychać do Pana Jezusa a ja też rozpłakałem się trochę i mówię mu:

— To pewnie ta kaplica fundowana na tę pamiątkę, że kogoś cudownym sposobem uratował Pan Jezus od zaguby oczywistej i on też na wieczną chwałę postawił ją tu Panu Jezusowi.

A dziaduś otarł sobie łzy końcem rękawa i pokiwał głową i opowiadał mi tak:

— Toć to prawdę jegomość mówią, boć ta i tak było. Oto dwór i kościół i wieś na cztery rogi podpalili w samo południe i xiędza staruszka pobożnego i pana dworu, co to był ojcem tej gromady i jego dwie córki zabrali z sobą i pognali w świat daleki z dziewkami ze wsi. Oj wtedy to był tam także i mój pradziad Szymek Polaczyk zabrany i razem xiędza, pana i jego do jednego sznura związali i pognali jakby woły na targ jaki. Co to było tam płaczu potem, ha! wie to ten Pan Jezus najlepiej, boć on to widział z nieba wysokiego.

Zaś dalszą rozmowę xiędza Wojciecha z dziadowiną wydrukujemy wam w drugim numerku.

Marcin Oraciewicz.

Na rynku w Krakowie wielki krzyk i wrzawa,
Bo Moskal już miasto w swe ręce dostawa,
Na rynku w Krakowie młódź chwacka się zbiera
I hejże na Moskwę odważnie naciera.

Na rynku w Krakowie kują broń kowale,
A z armat do miasta strzelają Moskale,
I śmieją się w oczy walecznej młodzieży —
„To fraszka! wołają moskiewscy żołnierzy.“

A kiedy na mieście te rzeczy się dzieją,
Ze strachu dziewczęta, kobiety truchleją,
Wychodzi na miasto Marcin Oraciewicz,
Mieszczanin krakowski, nie żaden królewicz.

I ukląkł na rynku wzniósł dłonie do góry
„Najświętsza“ — rzekł — „Panno krakowskie chroń mury,
I niedaj nam ginąć w moskiewskiej niewoli,
Patrz Maryo jak krwawo nas serce dziś boli!“

A wstawszy, co prędzej przybiegł do kowali;
„Kul dajcie!“ — zawoła — „niech skropię Moskali!“
„Nie ma już lać z czego,“ — odrzekną majstrowie,
„Ni kawał ołowiu nie znajdziesz w Krakowie.“

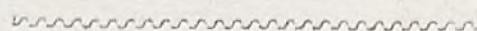
Co robić? pomyślał nasz Marcin w rozpaczy —
W tem lśniące guziki przy sobie zobaczy —
I guzy śrebrzyste jak nosił przy pasie
Odrywa je snadno i rzecze: „To zda się!“

„Błogosław Maryo!“ i w swoją strzelbinę
Dał guzik miast kuli, jakoby na drwinę;
Cóż robić? kul więcej nie mieli kowale,
Więc poszedł z guzikiem, gdzie byli Moskale.

Wymierzył strzelbinę, dał ognia na wroga —
W tem raptem Moskali wielka wzięła trwoga —
I tłuszcza żołnierzy co prędzej zmykała,
Bo Marcin guzikiem zabił jenerała!

Na rynku w Krakowie radośna nowina!
Na rękach obnoszą po mieście Marcina —
„To zbawca!“ — wołają — „to zbawca Krakowa!“
I po dziś w pamięci Marcina lud chowa.

Grzela z Waszkowiec.



Sprawiedliwość Boska.

Opowiedział Józef z Bochni.

(Dokończenie).

Jędrek przewracał się na słomie, różne go nachodziły myśli złe i dobre, i tak poczęło mu się serce ruszać, że głowę z kretesem utracił. Przyszła nań nieprzytomność i wielki go sen umorzył, w którym miał takie widzenie:

Zdawało mu się niby, że już był po śmierci i błądził po różnych Bóg wie jakich tam miejscach, aż nagle spostrzega przed sobą dziwne zjawisko. Otóż zobaczył on ogromną jasność iż raziła go w oczy i nie mógł się patrzeć nawet w ową stronę. Zaś był to Pan Jezus — a suknie jego tak błyszczały, bo były z promieni słońca. Twarz jego była bardzo śliczną, ale jej Jędrek nie widział, bo był grzesznikiem.

Po obu stronach Pana Jezusa klęczeli anieli, a mieli sukienki bielutkie jak śnieg; na ich twarzach jaśniały rumieńce, a włosy to tak wyglądały jakby ze złota zrobione. I spiewali oni przecudnym głosem i chwalili Boga na wysokościach, a śpiew ich rozchodził się naokoło i weselem napełniał przestrzeń całą.

Przed tymi znowu aniołkami stał cudnej piękności młodzieniaszek trzymający w ręku gałązkę zieloną — a to był stróż anioł.

Aliści daleko, gdzie ciemno było aż strach, widać było ogień przeokropny, a w nim skakali jacyś czarni — a to byli czarci przebrzydli.

Na takie widzenie Jędrek osłupiał jak ściana. Nie długo przynoszą aniołkowie święci wielką wagę na zważenie uczynków niegodziwego Jędrka i stawiają ją naprzeciw jasności.

Nagle daje się słyszeć słodziutki głos z jasności a to Pana Jezusa:

— Aniele stróżu! powiedz mi też o sprawowaniu na świecie tej oto duszy!

— O Wszechmocny Panie! — odpowie stróż anioł — wszakże donosiłem Ci o tej duszy, co zrobiła dobrego, ale bardzo mało tego było. Wyrodny ten syn zapomniał o Tobie,

ani się modlił, ani chodził do kościoła, a co największe, ani szanował on swojej matki, nie zważał na jej starość i w gniewie uderzył ją w policzek, a tyś powiedział:

— Ze wszystkiego serca twego czcij ojca twojego, a nie zapominaj stękania matki twojej!

— Więc on nie szanował matki swojej? — spytał Pan Jezus.

— Tak Boże i Panie — on był niedobrym dla matki swojej — powiedział stróż anioł.

— Połóżcie więc jego dobre uczynki na jednej wadze — rzecze teraz Pan Jezus — a grzechy, któremi mię obraził, na drugiej.

I uczynili aniołkowie jak Pan Jezus rozkazał, ale grzechy przeważyły, bo ich było bardzo dużo, a dobrych uczynków jeno kilka.

Właśnie w owym czasie pojawiła się Jędrkowa matka, a Pan Jezus odezwał się do niej:

— Czy się tak wydarzyło, jak mi doniósł stróż anioł?

— Tak samo kochany Boże! — odrzekła matka.

I w tej chwili dał się słyszeć głos:

— Zawołajcie sługi piekielne, niech sobie pojmą tę duszę obrzydłą, kiedy nie słuchała przykazań moich!

Już aniołkowie chcieli iść zawołać czartów, gdy w tem upadła matka przed jasnością i poczęła wołać:

— Miłosierny Boże! zlituj się nad dziećkiem mojem, daj mu jeszcze czasu na odpukotowanie swoich grzechów, błagam Cię w imieniu Świętych twoich — a ja daruję mu wszystkie przewinienia.

I w okamgnieniu znikła matka — i natenczas dała się widzieć twarz Pana Jezusa, a stróż anioł obróciwszy się do Jędrka, wyrzekł:

— Pozwolił ci Pan Jezus używać jeszcze życia, idź w świat jeszcze raz i odpokutuj wszystkie twoje grzechy znosząc wszystko co cię spotka cierpliwie, inaczej zginiesz na wieki, albowiem napisano:

— Ktoby uderzył ojca albo matkę swoję, niech śmiercią umrze!

Naraz wszystko znikło z oczu Jędrka, przebudza się, a właśnie już dniało.

Zmiękczyło to bardzo zepsutego Jędrka, atoli podziękowawszy gospodarzowi za nocleg, ruszył w dalszą drogę. Koło południa przybył on do rodzinnej wioski. Widzi już znajomą górę, widzi źródełko, u którego czerpał wodę, widzi starą drzewinę, ale z chatki nie zobaczył tylko szczątki, bo ją wiatry zgruchotały.

Rozlamentował się niezmiernie, łzy puściły mu się z oczu, pocierpnął na ciele — markotno mu było i smutno.

Idzie tedy do wioski, aby się spytać o matkę i usłyszał miły dzwonek kościelny, co prawie dzwonił na południe.

Biegnie więc czemprędzej do kościelnego i błaga go, aby mu powiedział gdzie jego matka, której szuka.

— Ale mój człowieku! — rzeknie kościelny — Tomaszowa już od trzech lat nie żyje!

— Nie żyje! — jęknął a serce stanęło mu w piersi od wielkiego bolu.

— Oj nie żyje, nie! — odpowiedział kościelny.

— Gdzie leży, pokażcie mi miły człowieku! — prosił zasmucony Jędrek. I zaprowadził go kościelny na cmentarz i pokazał mu wieczny spoczynek biednej matki, co ani prostego krzyża zatkniętego nie miała.

Zrazu mówił Jędrek pacierze, potem z okropnym zamachem rzucił się na jej grób, i w tej chwili straszliwy wydał krzyk, bo sobie prawą złamał rękę.

— Gwałtu! — gwałtu! — ratunku, ratunku! — krzyczał kościelny biegnąc po ludzi.

Wkrótce naschodziło się wiele ludzi; jedni krzątali się koło Jędrka, wołającego — dobij! dobij! bom grzesznik wielki — drudzy załamując ręce rozmawiali na boku.

— Aj widzicie, tać to syn po nieboszczyku Tomaszu Szubie — mówi jeden — co to przed trzema laty wybił swoją matkę.

— I nie oczywista to kara Boża! dodał Michał Styrna — a właśnie tę rękę złamał, którą bił staruszkę.

— Bo też to był bardzo zły chłopak — rzecze stary Maciej — nigdy jak słyszałem nie chodził do kościoła i bardzo niepoczciwe prowadził życie.

A na to powie znowu kościelny:

— Nigdy to nie ujdzie zły uczynek bezkarnie, bo Bóg sprawiedliwy jak nagrodzić, tak ukarać umie.

A na ostatku rzekli wszyscy:

— Niech mu tam Bóg przebaczy! — i zaczęli się rozchodzić do domów. Zaś Jędrka zawieźli ludzie na wózku do miastowego szpitala, gdzie długie na puchliznę chorował czasy, a potem jako dziad chodził po domach bez ręki, którą pan doktor oderznął — w obdartych łachmanach, a często opowiadał dzieciom swoje przygody zaklinając ich na Boga, aby podobnie jemu nie czynili, żeby nie mieli takiego niepowodzenia jako on w tem życiu.

Dziś już Jędrek leży w ziemi — a co Pan Jezus zrobił z jego duszą, tego nikt nie wie. Jeżeli odpukutował wszystko należycie tu na świecie, to może mu Pan Jezus przebaczy — w przeciwnym razie pokutować musi na tamtym świecie.

Niechże wam służą moje dzieci te okropne zdarzenia niedobrego Jędrka za przestrogę, abyście nie szli w ślady jego, ale kochali rodziców waszych, a wtenczas będziecie mieli błogosławieństwo Boże i długo żyć będziecie na ziemi.

Zaś wy kochani rodzice pilnując dzieci waszych, dajcie im dobry przykład ze siebie, abyście tym sposobem ściągnęli ich miłość na siebie, inaczej szanować was nie będą, a za to czeka ich przykre życie, a po śmierci was i wasze dzieci może spotkać potępienie wieczne, czego wam nie życzę jako wasz przyjaciel.

Piękne przykłady.

Pisanie wójta Antka Kujawiaka do pisarza Dzwonka.

W ostatnim numerze Dzwonka jaki odebrałem przed samem Bożem narodzeniem, prosicie panie pisarzu, ażebyśmy wam

o wszystkich pięknych przykładach i czynach, jakie w kraju zdarzają się, donosili. Gdyby to każden z nas co jedzie gdzie w drogę o tem pomyślał, że Pan Bóg dał człowiekowi oczy na to, aby wszystko piękne i użyteczne widział, i u siebie zaprowadzał; że dał mu na to uszy, ażeby o wszystkiem dobrem i użytecznem słyszał, a na złe lepiej uszy zatykał; że dał na to mowę, ażeby o wszystkiem co dobre i użyteczne dowiadywał się i znowu innym opowiadał, cobyśmy wiele dobrego widzieli, słyszeli i innym opowiadać mogli. Ale kiedy to czy blisko, czy daleko jedziemy, nic nie widzimy, nic nie słyszymy, a choć i zobaczymy jakie piękne zboża, lub bydełko lub co innego w drodze, to przychodzi nam najczęściej tylko grzeszna myśl: „*o żeby to moje było*“, ale nawet się nie zapytamy cóż ten robił, co takie piękne zboże lub bydełko ma, bo możebyśmy i sami to potrafili, i tym sposobem do niego przyjść mogli.

Ja, chwała Bogu, wszystko widzę i wszystko słyszę, gdy gdzie w drogę jadę, bo lubię z uczciwymi ludźmi rozmawiać; dla tego też moi sąsiedzi wydziwić się nie mogą, że im po każdej mojej podróży tyle opowiedzieć umiem.

Otóż tej jesieni przejeżdżałem przez miasteczko Cieszanów powracając z Jarosławia, gdziem odwoził jakiegoś pana z Polski na kolej żelazną, i przywiózłem piękny grosz do domu, bo mam dobre szkapięta i wóz porządny z półkoszkami; to też pan pochwalił moją jazdę, i uczciwie zapłacił. Stanąłem sobie tedy na rynku w Cieszanowie, założyłem szkapiętom siana, a potem wyjąłem z koszałki kawałek chleba i słoniny, aby i siebie cokolwiek posilić.

Tak jedząc rozpatruję się po miasteczku, i widzę piękny kościołek, plebanię, pięknemi sztachetami ogrodzone, a to wszystko takie bielutkie i schludne, że aż miło patrzeć. W tem odzywa się dzwonek na jakimś domku, i nie długo ze wszech stron idą dzieciaczki z xiążeczkami pod pachą, przechodzą koło mnie: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekną, a ja im odpowiem: na wieki wieków amen. Dzieciaczki idą do szkoły. Nadchodzi mieszczan, a ja do niego: z przeproszeniem waszeci, a dawno to już u was ta szkoła parafialna?

— A niedawno — odpowie — dopiero kilka lat, ale to trywiałka.

— A kto wam ją zaprowadził? — pytam dalej.

— Ha jużcić nie kto inny, tylko nasz xiądz kanonik dobrodziej.

— Musi to być majętny xiądz, ten wasz kanonik — rzekę ja — skoro wam trywiałkę zaprowadził; bo jakoś i kościół pięknie oparkaniony, bielutki, i plebania nowa, a tak porządnie i schludnie wszędzie, że aż miło patrzeć.

— O nie są oni wcale majętni nasz dobrodziej — odpowie mieszczan — bo podobno nie mają więcej pensyi jak kancelista od Becyrku, a gruntu także nie ma do plebanii tylko ogród; ale nasz nieboszczyk dziedzic pozwolił używać kawałek piasku dworskiego xiędzu kanonikowi, a oni sobie ten dobrze wyprawili i zgnoili, to też mają z tego tyle że chleba dla siebie i dla ubogiego nigdy nie zabraknie. Już to nasz dobrodziej są gospodarz co się zowie; oni to dają przykład, co z małego zrobić można; bo gdybyście mój gospodarzu widzieli, jakie oni konie, jakie piękne bydło na tym lichym kawałku piasku utrzymują, tobyście się zdziwili; a co za pasiekę mają, to w całej okolicy podobnej nie ma. Otóż nas dobrodziej, pracując tak na kawałek chleba dla siebie, a mając jeszcze przytem obowiązki proboszcza i dziekana, nie zapomina o miasteczku i parafianach swoich. Możeście słyszeli, że przed 10 laty pogorzał Cieszanów, spłonął także kościół i plebania i budynki plebańskie, tylko same mury pozostały. Nasz dobrodziej jak się koło tego zakręcili, jak przemówili do panów, mieszczan i włościan, tak w jednym roku wszystko stanęło. Potem za jego staraniem stanął jeszcze szpital, szkoła i nowe organy do kościoła naszego. I jeszcze nie dosyć na tym, teraz jegomość sprowadzają różne xiążki, trzymają Dzwonek i Przyjaciela domowego, i zakładają czytelnią parafialną. Takich xiążek będzie już może sto, i to nasz dobrodziej rozdają do czytania parafianom, a ludziska czytają i oświecają się; i co dawniej było jak tabaka w rogu, albo jak but nie przymierzając, dziś już nie da się jakiemu zabłędzie obałamucić, co to do procesów namawiał, i pieniądze z kieszeni wyłudzał. Mamy też za-

cnego xiędza wikarego, któren się bardzo szkołą zajmuje, i bardzo pracowitego i uczciwego nauczyciela, bo jakoś nam Pan Bóg błogosławi, że wszystko co dostaniemy za pomocą xiędza kanonika, dobre jest.

Bywało nim to jeszcze szkoła trywialna stanęła, a xiędzu dziekanowi podobał się jaki chłopczyk, więc rzecze do xiędza wikarego tak: Jegomość, nie masz ani roli ani pasieki, masz więcej czasu jak ja, a więc ucz mi tego malca, aby na człowieka wyszedł. Tak mieliśmy tu piwowara który ociemniał; tą nieszczęśliwą rodziną nie tylko że opiekował się nasz dobrodziej, ale syna piwowara dał pięknie wyuczyć. Chłopca uczył xiądz wikary kilka lat, aż nakoniec gdzieś znikł; aż tu dowiadujemy się, że chłopiec jest już w seminaryum duchowieństwa i będzie za kilka lat xiędzem.

Otóż mój gospodarzu, kończył mieszczan, taki jest nasz xiądz kanonik. Już przeszło 30 lat opiekuje się nami i jest naszym ojcem i dobrodziejem. Pamiętam ja jeszcze jak tu nastał, to Cieszanów był dziczą, bo byli tacy co i pacierza nie umieli, a coż dopiero czytać i pisać. Dziś jest zupełnie inaczej, a przecież są ludzie między nami, którzy jeszcze na naszego dobrodzieja wymyślają za to, że dzieci do szkoły sprowadzać każe, i tym podobne gadki bezrozumne prawią. Ale mam nadzieję w Bogu, że przyjdą do upamiętania i błogosławić mu będą.

— Oj co będą to będą — rzeknę ja — bo gdzież znajdą drugiego takiego dobrodzieja. Ludzi takich przymierzyć trzeba do nierozumnych dzieci, które nie wiedzą co czynią; boć pamiętam, że i nasz pan dziedzic, jak mi kazał uczyć się czytać, pisać i rachunków, to nieraz wymyślałem na niego i na panicza co mnie uczył, gdyż wolałbym był się rozbijać po ślizgawce, lub gonić się z chłopcami; a nawet mój ojciec nieboszczyk nieraz mówili do pana: Proszę jegomości, a na co memu chłopcu tego, on do pługa i kosy stworzony. Ale potem co to radości było, jak widzieli, że xiędzu proboszczowi służę do mszy świętej w białej komeszce, jak im czytałem w niedzielę i święta różne ładne powieści z xiążek, jak przychodzili do mnie sąsiedzi, a ja im czytałem papiery jakie odebrali z urzędu,

lub listy od synów, co w wojsku służyli, albo też jak kto miał rachunek z arendarzem, wyrachowałem wszystko do czysta, i nie pozwoliłem żydowi oszukać sąsiada. Wtenczas to wszyscy mówili: „oj żebym ja takiego syna miał“ — a mój ojciec często sobie nieznacznie połąłzę ocierali, a nie mogli się panu dosyć nadziękować. Toż i ja tego mojemu panu, który mnie jeszcze jako panicz uczył, nigdy nie zapomnę, i gotowem mu za każdego szturchańca dziś jeszcze rękę pocałować, bo wiem że to na moje dobre było; a człek tego wtenczas nie rozumiał i zmiarkować nie potrafił. Zostańcie z Bogiem panie mieszczanie, bo mnie w drogę, to i czas; Bóg zapłać za wasze opowiadanie.

Otóż w teraźniejsze święta, podziękowawszy Panu Bogu za wszystko dobre w kościele, nie miałem tak dalece co robić, bo i burza na dworze była, więc też każden w chałupie siedział, i używał co Pan Bóg dał; a zaś mnie przypomniała się moja rozmowa z mieszczanem Cieszanowskim, więc spisałem ją i posyłam do Dzwonka.

Antek Kujawiak, wójt.

WŁÓCZĘGA.

Włóczęga — a ubogi —
O to przedział srogi.

Prawie już pod wieczór powracając z pola szedłem jak to mówią ze spuszczonym nosem, medytując nad tem, że to ani kropelka deszczu nie upadnie. Kiedy tak idę, aż tu na drodze wyskakując ktoś hołubce wybija. Zbliżam się pospieszniej i oczom i uszom moim nie chcę wierzyć. Bo wystawcie sobie, oto chłopak około lat 12 mający, obdartus całą gębą, prowadząc niby kalekę dziada, a łyknąwszy zapewne kieliszek, wyspiewuje na całe gardło:

Gdybyś ty mnie moja Basiu chciała,
Tęgiegobyś ze mnie kosyniera miała.

A to co? pomyślałem sobie, i pohamowawszy się w pierwszem oburzeniu, stanąłem nagle przed nim, i zawołałem: Hola mości spiewaku! jesteś tak tęgim kosynierem, że aż się Basi zalecasz, to się spróbujemy. — Aż mu rury zmiękły, gdy zo-

baczył xiędza przed sobą, nastroił zaraz okrutnie skromną minkę, właśnie jak kot, kiedy na mysz czatuje. Ale ja przystąpiłem zaraz do rzeczy i mówię mu: Przeżegnaj się! A tu on chłopak ani wie zkąd zacząć. — Powiadam mu: Mów pacierz! — a on i tego nie umie. — A no! rzekłem, kiedy ty umiesz tak ładnie spiewać, a Pana Boga chwalić nie umiesz, to cię muszę wziąć w naukę, abyś się nauczył Pana Boga chwalić, a ludzi nie oszukiwać. Ledwom te słowa wymówił, a tu obdartus uwinął się tak szybko, że mi w okamgnieniu gdzieś przepadł.

Dopiero ja zwróciłem się do onego niby kaleki dziada, i zacząłem mu prawić, jak wielką odpowiedzialność zaciąga na siebie przed Bogiem, że sam udaje niewidomego, a przytem tak młodego chłopaka psuje i kieruje na łotra. Wzdychał ci on, gdym to mówił, przewracał oczami udając skruszonego, a tymczasem raz poraz spoglądał na kieszeń, w której trzymałem rękę, spodziewając się zapewne po nauce jałmużny. Ale się chudzina potężnie omylił, bo nie tylko że nic nie dostał, ale mu zapowiedziałem, że jeżeli go jeszcze raz gdzie z tym chłopakiem zobaczę, to jego i chłopaka jako próżniaków, włóczęgów i oszustów sołtysowi odstawić każę.

Poszedł, mrucząc coś pod nosem niby pacierz, a mnie ból serce ścisnął na myśl, że tylu jemu podobnych od wsi do wsi, od chaty do chaty się włóczy, i jałmużnę z biednych ludzi wyłudza, a nawet pacierza jednego za nią nie zmówi. Chłopcy jak dęby, twarze nabrzmiałe od pijaństwa, wyuzdane natręctwo szczególnie tam, gdzie chaty pojedyńczo po polach porozrzucane, odgrażanie się, wyzywanie, oto jest pokora, z którą o jałmużnę proszą — a naśmiewanie, drwinki i pijaństwo, oto modlitwa, która idzie za daną jałmużną.

Lud nasz poczciwy, bogobojny i miłosierny, daje co może; nawet i najuboższy wyrobnik ostatnim kęsem chleba dzieli się z wyciągającym rękę w Imie Chrystusa, bo słyszy na nauce, że błogosławiony mąż, który ma wyrozumienie nad nędzarzem i ubogim, albowiem w dniu złej przygody wybawi go Pan; bo słyszy, że jałmużna uwalnia od grzechu, będąc hamulcem przeciwko grzechowi; będąc lekarstwem, żeby powtórnie nie

upaść; będąc nam pobudką do pokuty, a przytem zabezpiecza miłosierdzie Boże w dniu sądu ostatecznego. Ale jakiejże to potrzeba siły, aby się oprzeć pokusie nie dania nic, gdy widzim tyle złości w tych, co się jałmużny domagają w Imie Chrystusowe, ale wbrew duchowi Chrystusowemu! jakże to gwałtownie serce biedne bije poczciwego i pobożnego człowieka, nie mogąc sobie jasno wytłomaczyć, czy ta jałmużna, którą daje, nie da powodu do większej obrazy Boskiej!

Z tem wszystkiem Ludu poczciwy! trzymaj się św. Pawła, że lepiej jest dawać, aniżeli brać. Dawajcie więc jałmużnę, a nie oglądajcie się na osobę, bo Bóg widzi serca wasze, i za to odpłaci wam. Pijanym zaś, a szczególnie młodym, silnym i zdrowym, albo też i dzieciom, które wodzą dziadów, nie dawajcie pieniędzy, bo im przez to do łotrowskiego życia dajecie zachęty. Zasilcie ich kawałkiem chleba, lub łyżką strawy — a przytem patrzcie, czy mają przynajmniej wyobrażenie o Bogu i Chrystusie; czy umieją się przeżegnać, lub czy pacierz znają; bo jeżeli tego nie umieją, jakże się mogą na twą intencyą modlić?

W ogóle schorzałych, starych, kaleki uważajcie za ubogich — zdrowych zaś, silnych i natrętów uważajcie tylko za to, czem istotnie są — za włóczęgów, i według tego swe serce regulujcie.

Sz. N.

Rady gospodarskie.

Obiecaliśmy wam, że w Dzwonku będzie zawsze sprawa o gospodarstwie, iż to jest rzecz dla każdego człeka wiejskiego potrzebna. Tak też będzie jak wam obiecaliśmy. Zaś najpierw iż jest zima, a niebawem zacznie się już wiosna, i roboty różne gospodarskie zaczną się, wiec o tym będzie sprawa. Rzecz to bardzo ważna, aby się znać na roli. Bez tego nie można dobrze gospodarować. Kto nie wie co posiać w jakiej roli, jak każdy grunt przyprawić i obrobić, temu też nie uda się żadne zboże. Dobry gospodarz powinien najpierw znać swoje grunta jak się patrzy, powinien doskonale wiedzieć jaka uprawa któremu należy, i jakie ziarno w każdym posiać można. Toć

każdy wie, że to nie bajka i nie mała sprawa znać się na tem, gdzie i kiedy siać ziarno. Także i ta jest rzecz, iż nie we wszystkich miejscach można jednako gospodarzyć i jednako uprawiać rolę. W niektórych wsiach jest grunt tłusty i piękny co się zwie; indziej sucha glinka, indziej znowu kamienie, albo moczary, albo wyparzeliska. Gospodaruj że tu jednako, a dopiero zobaczysz jak ci się uda.

Rola moiściewy to nie fraszka, a znać się na niej dobrze to rzecz nie mała. Długo trzeba pracować, długo próbować, nim człek trafi na dobrą racyę. Przeto prosiłem ja różnych starych gospodarzy, aby mi powiadali jak gospodarują, i aby mi spisywali dobre rady gospodarskie. Dobrzy ludziska przystali na to, i tak mam już różne nauki, a także i z mojego doświadczenia nie jedno wam opowiem.

RÓŻNOŚCI.

Nieszczęście we Lwowie. Niedawno zdarzyło się we Lwowie wielkie nieszczęście, bo się jednej nocy zwaliła kamienica, i kilkoro ludzi zginęło. Lament był wielki i zbiegowisko ludzi, aż tu rano zaczyna się walić druga kamienica. Przyszedł urząd, zamknął kamienice, i zaczęto wywozić rumowiska. Za trzy dni znaleziono jeszcze troje ludzi, a jedna dziewczyna była jeszcze żywą, reszta podusiło się. Dziś jeszcze widać one zwaliska, bo wszystkiego nie można było uprzątnąć.

Piękny przykład. Pisałem wam niedawno moiściewy, iż w Czechach są ludzie bardzo chętne do nauki, i że tam lud wiejski już bardzo rozumny i uczony, a także dobrze się ma z onej racyi. Otóż piszą teraz po gazetach, iż w Czechach i na Morawie nietylko zakładają ludzie szkółki i kupują sobie różne xiążki a gazety do czytania, ale iż sobie wynaleźli jeszcze jeden sposób do nauki i dobrej zabawy. Oto po miasteczkach i po wsiach zakładają tam gospodarze czytelnie, więc na to mają izbę dobrą, gdzie może wiele ludzi zejść się razem, a w tej izbie za wspólne pieniądze są xiążki i gazety. Wieczorem po pracy, w święto i niedzielę, schodzą się ludzie i zabawiają czytaniem. Każdy daje na to małą opłatę, bo tylko 10 krajcarów, a nauki i zabawy ma dostatek. Zaś piszą iż to sami gospodarze zakładają takie czytelnie, a nie panowie albo xięża, i sami wieśniacy proszą u urzędu o pozwolenie. A czyż to nie dobry przykład, powiedźcie sami, i czy nie warto czynić tak samo?

Wydawca odpowiedzialny: E. Winiarz.